Nr. 28. We Lwowie dnia 9. Lipca 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przelotne ptaki.

I.

Nieraz jesienią, idąc po ugorze
Pośród jałowców osendziałych śniegiem,
Widziałem ptaki, lecące szeregiem
Gdzieś nad nieznane południowe morze...

Oczy za nimi gubiłem w przestworze,
Goniąc myślami za ich chmurnym biegiem:
Gdzie one spoczną i nad jakim brzegiem?
Czy nowe życie znajdą, czy śmierć może?...

I długo stałem, zapatrzony w dale —
Aż cały smutny ten różaniec ptasi
W krople się stopił i zginął w przeźroczu...

Wówczas się ku mnie zbiegły wszystkie żale
Tęsknice za tem nieznanem, co gasi
Wieczne pragnienia i łzy ściera z oczu...

II.

I z kraju nędzy, gdzie nie giną lody,
A śnieg po turniach z wieku na wiek leży,
Ziemię zamraża i ugory śnieży,
Z krainy, kędy zimne wieją chłody —

Poszedłem szukać słońca i pogody.
Gór mych odbiegłem i trzód i pasterzy,
Z nadzieją wiosny, jak dziecko, co wierzy
W nowe świtania i promienne wschody.

Marzyłem zawsze o tak wielkiem świetle
Gwiazd na tysiączne rozszczepionych ognie,
Które po niebie łuk za łukiem kreślą —

Że, albo przy nich serce w popiół zetlę,
Albo tak duszę stopię i rozognię,
Że słońcu buchnie w twarz płomienną myślą...

III.

Stanąłem w cichej, uśpionej dolinie,
Pełnej oświetleń słońca i promieni,
Gdzie drga powietrze tysiącem odcieni
I morze światła przed oczyma płynie...

Chciałbym zatrzymać duszę w tej krainie,
Zapomnieć lodów, zimy i jesieni
I być, jak ludzie w szczęściu zamyśleni,
Bez wiecznych pragnień i zawsze i ninie...

Tak tu spokojnie, cicho... Całe życie
Zdaje się tonąć w bieli i błękicie,
Słońce promieni żywot i ozłaca...

Idę w te blaski martwemi oczyma —
Myśl nieustannie i zawsze powraca
W krainę, kędy wieczna leży zima...

Genewa, w kwietniu.

Władysław Orkan.

22) O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Grzeczność Czekanowskiego, jakaś arystokratyczna dystynkcja, która go znamionowała, były powodem, że wszyscy Sybiracy uznawali go za istotę wyższą od zwykłych, i za „pana“, znakomitszego od reszty Polaków. Raz, gdy Aleksander przybył do nas do Kułtuka, zawiadomił mię o tym wypadku spotkany na wycieczce włościanin, mówiąc „wasz balszoj pan pryjechał“. Tę wyższość Czekanowskiego, po nad zwykłą miarę ludzi przeciętnych, odczuwali wszyscy. Wroński np. uwielbiając go, stawił jako ideał niedoścignięty dla innych, ale przytem miał lęk nieśmiałości w obec niego, często mi powiadał, że boi się go znudzić swojemi opowiadaniami, nie nazywał go nigdy po imieniu, uprzedzał wszystkie jego życzenia, każde powodzenie Aleksandra cieszyło go więcej, niż własne, a gdy się dowiedział, że wielki książe Konstanty, prezes i opiekun Towarzystwa geograficznego w Petersburgu, rozmawiał długo z Czekanowskim po jego odczycie, że go zaprosił do siebie, i że następnie Towarzystwo geograficzne w Paryżu ofiarowało Czekanowskiemu medal złoty za jego prace geograficzne, wtedy radość Wrońskiego nie znała granic.

Pop miejscowy w Paduniu, pisarz włościański i inni dygnitarze wiejscy, dopiero od daty odwiedzin Schmidt'a uczuli wielki respekt przed osobą Czekanowskiego, a szczególniej od chwili, gdy spostrzegli w rękach jego namacalne dowody domniemanej opieki carskiej w formie monety brzęczącej; żałowali oni szczerze, że już przedtem nie poznali się na tym człowieku, a jednak było to tak łatwo, powiadali, „bo choć mieszkał w nędznej ziemiance, a wszakże umywał się co dnia, jak to osobie wysokiego znaczenia przystało, przytem mył on nie tylko twarz swoją na rzece, ale ręce i szyję“; „kto kiedy z naszych“, mówił nam pop Andrzej „pomyślałby o umywaniu się przy takiej biedzie“. „Zresztą wszyscy panowie paduńscy“, dodał pop, „są to ludzie „znatni“, nie wymyślają sobie nigdy pa matuszkie, myją się codzień zimną wodą i czeszą porządnie, wtedy, gdy nasz brat, mieszkający nawet wystawnie, łaje nieprzyzwoicie, byle za co, raz na tydzień idzie do bani, „a zresztą tylko wodą z ust splunięta wilży sobie twarz co rana“. Gdyśmy pytali popa, dla czego ludność nie przyszła w pomoc „panom“? co było powodem, że z nimi tak nie po ludzku się obchodzono? odpowiedział pop naiwnie: „nam powiadano, że panowie mieli zamiar spalić Irkuck i wyrznąć wszystkich mieszkańców, dzisiaj wprawdzie przekonaliśmy się, że to kłamstwo, ale uprzednio wierzyliśmy opowiadaniom“. Za późno, niestety, dla internowanych w Paduniu nastąpiła chwila rozwagi i opamiętania w umyśle mieszkańców, bo złe, przyczynione ich nieludzkiem obejściem się, naprawić się już nie dało.

Marjan Dubiecki, kreśląc życiorys Czekanowskiego, przyrównał Fr. Schmidta do Beatryczy Dante'go, gdyż wywiódł on Aleksandra „z otchłani niedoli“. Jabym sądził, że rola akademika petersburskiego była o wiele szlachetniejszą od roli owej niebianki, bo gdy tamta nie przyniosła żadnej ulgi udręczonym, to Schmidt potargał więzy niedoli i rozwarł szeroko bramy piekielne, ale co więcej, przemienił on sługi Lucyperowe w istoty, czujące po ludzku. Wróciwszy do Petersburga wymógł Schmidt na Akademji, że się postarano drogami ubocznemi o to, ażeby przenieść Czekanowskiego i jego towarzyszy do Irkucka i że polecono Aleksandra opiece Towarzystwa geograficznego.

Czekanowski podczas swego pobytu w Paduniu przy warunkach najniepomyślniejszych, zdołał opracować parę traktatów treści meteorologicznej. W jednym z nich wyłożył nową teorję wiatrów, w drugiej wykazał sposób robienia spostrzeżeń bez użycia instrumentów, gdy się ich niema przy sobie. Obie prace rzeczone, napisane po rosyjsku, spoczęły w aktach Akademji; komisja bowiem, której poruczono ich ocenę, orzekła, że jakkolwiek są one napisane dobrze, jakkolwiek noszą na sobie cechy wysokiego stopnia wykształcenia meteorologicznego, a szczególniej przyrodniczego, ze strony ich autora i zdradzają niepospolity talent jego obserwacyjny, lecz z powodu braku w nich materjału ściśle „instrumentalnego“, nie mogą mieć doniosłości naukowej.

Jak trudno było Schmidtowi, a zarazem Akademji w Petersburgu, pokonać złe usposobienie ministrów stolicy odnośnie do zesłanych na Syberję, a stąd płynącej nieżyczliwości władz Irkuckich, może służyć przykład następujący:

W chwili, gdy Czekanowskiego przeniesiono z Padunia do Irkucka, wysyłano stamtąd ekspedycję na daleką północ, do krainy Czukczów pod kierownictwem barona Karola v. Maydell'a i przy asystencji astronoma Karola Neumann'a, obu dawnych kolegów Aleksandra z Dorpatu.

Ekspedycja rzeczona miała za cel główny przyjęcie w poddaństwo „cara“ Czukczów „Erina“, wraz z całym jego ludem, ale obok tego jednak były jeszcze i poboczne zadania, wielce doniosłego znaczenia, mianowicie robienie obserwacji astronomicznych, magnetycznych, meteorologicznych i geologicznych, a zarazem postanowiono zbierać kollekcje geologiczne, zoologiczne i botaniczne. Otóż Akademja petersburska, wobec tak ważnych zadań ekspedycji, poleciła ze swej strony na geologa, botanika i zoologa Aleksandra Czekanowskiego, jako jedynego podówczas człowieka, który takim wszechstronnym obowiązkom sprostać byłby potrafił. Pomimo najpochlebniejszego świadectwa ze strony Akademji, pomimo oświadczenia barona Maydell'a, że ręczy za Czekanowskiego swoją osobą, minister jednak odmówił sankcji, a z tej racji generał-gubernator nie pozwolił Aleksandrowi jechać na północ. Wolał tedy pan minister, ażeby wyprawa, tyle kosztowna, nie dała żadnych rezultatów naukowych, aniżeli zmienić w czemkolwiekbądź raz powzięte postanowienia, odnośnie do zesłanych na Syberję.

W chęci umotywowania ucisku ówczesnego, powoływano się ciągle na wolę monarszą, mocą której wyszły i rozporządzenia najrozmaitsze, a pomiędzy innemi zakaz przebywania Polakom na Amurze, na Ussuri, albo na północy Syberji wschodniej. Miano wtedy jeszcze świeżo w pamięci ucieczkę Bakunina *) i obawiano się widocznie, ażeby i inni więźniowie nie poszli za jego przykładem.

*) O ucieczce tego znakomitego więźnia stanu i o nim samym słyszałem opowiadania z ust świadków naocznych i towarzyszy jego w podróży po Amurze. Dawano mi nawet do czytania spisane przemówienia, jakie miewał do publiczności przy okazjach rozmaitych, zresztą płynąłem na tym samym statku i z tym samym kapitanem, na którym i z którym podróżował Bakunin. W czasach, gdy ta ucieczka miała miejsce, prąd wolnomyślny z zachodu wiał przeważnie po Syberji. Uwielbiano Bakunina, przyjmowano ostentacyjnie Michajłowa etc., ale wprędce potem nastały czasy inne: gdyż tych, co uprzednio wynoszono pod niebiosa, potępiono bez apelacji. A ostatecznie zawładnęła krajem wschodnim reakcja zupełna, która jakoby trwa po dobę niniejszą. Sądzę, że nie będzie może rzeczą zbyteczną, jeżeli dla charakterystyki chwili liberalizmu na Syberji, przytoczę tutaj niektóre szczegóły, dotyczące Bakunina samego, jego ucieczki i tych słów i myśli, jakie trafiały podówczas do przekonania większości Sybiraków a także i większości urzędników na Syberji.

Co do ucieczki samej, to rzecz miała się tak: Okręt angielski zawinął do portu „De-Castri“, czyli zatoki morskiej, położonej na wybrzeżach posiadłości rosyjskich w Mandżurji i tam stanął na kotwicy; w tym samym akurat czasie przybył Bakunin na statku rzecznym do Mikołajewska, t. j. do miasta, zbudowanego nieopodal od ujścia Amuru, a ztamtąd wyruszył na statku wojennym, rosyjskim, płynącym do Possietu, portu południowego, położonego na granicy pomiędzy posiadłościami rosyjskiemi a Koreą. Podróż, którą odbywał Bakunin po Amurze i wzdłuż wybrzeży Mandżurskich, miała jakoby dwa cele. 1. poratowanie zdrowia schorowanego więźnia, 2. opisanie dokładne miejscowości zasiedlonych wzdłuż Amuru i po zatokach morskich. Sporządzenia takich opisów podjął się był Bakunin. Ten ostatni, gdy przybył do portu „De-Castri“ uprosił kapitana, ażeby mu pozwolił zwiedzić okręt angielski, o którym była mowa uprzednio. Uzyskawszy pozwolenie, udał się tam w assystencji dwóch oficerów marynarki rosyjskiej, zabawił jakiś czas, przyjmowany bardzo uprzejmie przez Anglików, a następnie oświadczył towarzyszom swoim, oficerom, że raz stanąwszy na pokładzie okrętu angielskiego, oddaje się pod opiekę Wielkiej Brytanji. Oficerowie wrócili sami, zaś Bakunin popłynął szczęśliwie, pod lwią banderą, bo kapitan statku oznajmił stanowczo, że gościnności angielskiej gwałtu zadać sam nie może, a innym nie pozwoli.

Czy ta ucieczka była już z góry uplonowaną? czy tylko wypadek zdarzył szczęśliwy, że równocześnie z przybyciem Bakunina do „De-Castri“ zawitał tu i okręt angielski? tego nikt wiedzieć nie może na pewno. Ucieczka cała, zdaniem mojem, pozostanie na zawsze tajemnicą, ale za to plotkom, domysłom i insynuacjom posłużyła za wdzięczne pole. Władze rządowe pociągnęły do odpowiedzialności z jednej strony wielu rzekomo podejrzanych o uczestnictwo, z drugiej zaś tych, których obwiniano tylko o grzech niedozoru i opieszałości. Tak np. usunięto z posady zarządzającego krajem Zabajkalskim, pułkownika Kukiela; wdrożono śledztwo przeciwko kapitanowi i oficerom, etc. etc., atoli żadnych dalszych bardziej energicznych środków karnych nie przedsiębrano wcale; okoliczność ta była powodem, że wielu gorliwych patrjotów, w czasie późniejszej reakcji obwiniało wszystkich „liberałów“ na Syberji i w Petersburgu, że brali oni czynny udział w tej sprawie. O Bakuninie krążyły wśród publiczności, w czasach, gdym bawił na Amurze, wieści rozmaite i sprzeczne. To, co słyszałem od osób wiary godnych, streszczam w krótkim zarysie następującym:

Bakunin miał być mężczyzną, silnej budowy ciała, otyły i o wyrazie twarzy dobrodusznym, inteligentnym i sympatycznym. Podczas podróży był cierpiący; najczęściej leżał, a nawet przemawiał leżący. Lubił towarzystwo i kieliszek, jednak nigdy się nie upijał; pijaństwa i pijaków nie znosił. Miał dar krasomówczy i zdolności niepospolite, a do tego pamięć wyborną; nie cierpiał opozycji w dyskusjach, ta rozdrażniała go i doprowadzała do występów gwałtownych. Gdy był w dobrem usposobieniu, wtedy żartował i chętnie opowiadał rozmaite wypadki ze swego życia, nadto lubiał pouczać i przemawiać na temat swoich doktryn, które wtedy jeszcze nie miały charakteru anarchistycznego. Otwarcie i bez wszelkich ogródek wypowiadał swoje poglądy, łajał despotów przy każdej sposobności i wymyślał na ich służalców, w doborze epitetów dla nich nie był wybredny, uważał politykę zaborczą rządu za straszny błąd, a gnębienie narodowości obcych za zbrodnię; tych, którzy politykę taką uznawali za słuszną nazywał „Kainami“. Parę ustępów z przemówień Bakunina, mianych na Amurze powtórzę tutaj:

„Po co my leziemy do Azji? powiadał, po co gnębimy, dręczymy i zabijamy sąsiadów naszych w Europie? po to, ażeby samym umierać z głodu, w nędzy i upodleniu? Siła państwa nie zależy od obszarów, lecz od wartości osobników, wchodzących w skład jego. U nas co? „stiepi nieprachadimyja“, a obywatele tych stepów — to ludzie o głowach i sercach pustych, jak pęcherze i o woli tak zdeptanej, jak znoszony „basznak“ tj. jak pantofel. „Wstyd i hańba takiemu państwu“, „U nas każdego czynownika, biorąc od góry do dołu, kupisz, bylebyś miał pieniądze, każdy z nich sprzeda ci matkę własną, bylebyś dobrze zapłacił. Co? może to kłamstwo? wołał, uderzcie się każdy z was w piersi, a jeżeli w duszy waszej pozostała chociażby iskierka jaka uczciwości jeszcze, to powiecie razem ze mną: Tak, my wszyscy jesteśmy złodzieje, bo jeżeli gdzie, który z was sam nie kradnie, to żyje przecież z kradzieży i grabieży innych. Każdy z naszych, tak zwanych patrjotów, to kupiony towar za pieniądze, za „czyn“ (tj

za rangę), za order, za gwiazdę. Wy łajecie anglików i niemców, wymyślacie na zgniły zachód, na brak tam wiary, a od Was czuć, jak od zgniłego śledzia. Wy wierzycie w co? w stokopiejkowe bóstwa? bo, że nie w Boga sprawiedliwości, miłosierdzia i litości, to pewna. Wy, niesprawiedliwością obrzękli, tonący w krzywdach, przyczynionych bliźnim i braciom, krwią i łzami ich opici, możecie wierzyć we wszystko, tylko nie w tego Boga, którego mienicie Waszym, a który cierpiał za innych. Wasi kapłani opoje i zdziercy, chamy i sługi Lucypera, mienią się być przedstawicielami Boga, zastępcami jego na ziemi; o większem świętokradztwie chyba trudno pomyśleć. Zaiste, zwarjować trzeba, myśląc o takim stanie rzeczy, jaki widzimy w naszej ojczyźnie. Rwijcie mię na szmaty, krajcie w kawały, wydrzyjcie mi serce z łona, jeżeli mówię nieprawdę."

O polakach i Polsce Bakunin odzywał się zawsze z wielką sympatją, poznał się z Weberem na Amurze i z innymi zesłanymi naszymi żył w przyjaźni. Żona jego z domu Kwiatkowska była polką. Opowiadano, że po ucieczce męża prześladowano ją, ale szczegółów dokładnych podać nie mogę, wiem tylko tyle, że w późniejszych czasach pozwolono jej na czas jakiś przyjechać do krewnych na Syberję, skąd była rodem, gdyż tam się urodziła. Bakunin nazywał panslawistów „rekinami", bo tak, jak ci ostatni radzi byliby i oni „pożreć" braci swoich, byleby samym utyć.

Utyskiwał w swoich przemówieniach Bakunin na dyplomację rządu, która sieje i pielęgnuje waśnie pomiędzy braćmi, żyjącymi po za granicą państwa, nawoływał stale do życia „w prawdzie, sprawiedliwości, szczerości i miłości wzajemnej".

W perjodzie reakcji nazywano Bakunina arcykapłanem kultu samobiczowania narodowego i zamieniono wprędce ten kult na inny, mianowicie na kult samochwalenia i samouwielbienia szowinistycznego. Przed laty niewielu Bakunin i Michajłów byli uwielbiani, czczeni i fetowani, dzisiaj ich miejsce zajęli: Murawjewy, Apuchtiny i inni, im podobni działacze. Kiedy nadejdzie fala zwrotna? — niewiadomo. Że nadejść ona jednak musi, w to wierzą sybiracy, a i my wraz z nimi.

(C. d. n.)

3.

Słowacy a korona św. Stefana.

II.

Minęły krwawe lata 1848 i 1849, które, rzecz prosta, nie mogły wpłynąć na polepszenie stosunków między Madziarami a Słowakami. Wzajemna głucha niechęć i nienawiść nietylko nie słabła, ale nawet coraz bardziej się wzmagała. Słowacy widzieli się pod każdym względem upośledzonymi i pogardzanymi, a Madziarowie do odwiecznej pogardy dodali gorzkie wspomnienie upokorzenia wojennego w r. 1849 i żądzę zemsty za to, że Słowacy pomagali wtedy ich wrogom do tego upokorzenia.

A jednak Słowacy znowu występują z gałązką oliwną, proponując jedyny sposób wyjścia z tego opłakanego stanu, proponując *modus vivendi,* oparty na zasadach sprawiedliwości i nie uwłaczający w niczem narodowości madziarskiej.

Zgromadzenie narodowe słowackie w dniach 6. i 7. czerwca r. 1861 uchwaliło obszerne i wielkiej doniosłości »M e m o r a n d u m n a r o d u s ł o w a c k i e g o do Wysokiego sejmu kraju węgierskiego, obejmujące żądania narodu słowackiego, w celu sprawiedliwego przeprowadzenia i zabezpieczenia drogą ustawodawczą równouprawnienia narodowego na Węgrzech«. M e m o r a n d u m to mogłoby posłużyć za punkt wyjścia do załagodzenia sporów narodowościowych nietylko na Węgrzech, ale także w wielu innych krajach i państwach.

Uznaje ono całość i nietykalność Węgier, które nazywa »wspólną matką wszystkich narodów węgierskich«, i zapytuje, jaki to będzie jej, tej wspólnej matki wszystkich, los teraz, »kiedy duchem czasu poruszająca kwestja narodowości czeka w niej na rozwiązanie«.

»Życzymy sobie«, mówi dalej Memorandum, »ażeby kwestja ta nie stała się nieuleczalną raną wspólnej matki naszej, ale ażeby stała się nietykalną tarczą, odbijającą pociski nieprzyjacielskie.

»Świadomość nasza mówi nam, że my, Słowacy, zupełnie tak samo jesteśmy narodem, jak Madziarowie, albo jak którykolwiek inny naród tej ojczyzny; z czego... wynika, że jako naród nie możemy mieć mniej praw, aniżeli ich ma którykolwiek inny naród wspólnej naszej ojczyzny.

»A jednak« — uskarża się Memorandum — »jeżeli zwrócimy uwagę na stan prawny z roku 1848, znajdziemy, że n i e t y l k o d a w n i e j s z e s e j m y nasze z lat 1791, 1792, 1805, a l e t a k ż e p ó ź n i e j s z e p r a w a (u s t a w y), zwłaszcza z lat 1832—36, aż do r. 1848, j e d y n i e t y l k o n a r ó d m a d z i a r s k i u z n a j ą z a n a r ó d, jedynie tylko o języku madziarskim mówią jako o języku narodowym i ojczystym, dbając o popieranie jedynie tylko narodu madziarskiego i języka madziarskiego, a o n a s w c a l e n i e w z m i a n k u j ą c, jak gdyby nas, którzyśmy przecie najstarszymi dziedzicami tej wspólnej ojczyzny, w ojczyźnie naszej wcale nie było«.

Dla »usunięcia tej krzywdy« żąda Memorandum:

»I. A ż e b y o d r ę b n o ś ć n a r o d u s ł o w a c k i e g o i o j c z y s t o ś ć« (patryjotyczność, vlastenskost') »j ę z y k a s ł o w a c k i e g o z o s t a ł y u z n a n e u s t a w ą p o z y t y w n ą (p r a w e m p o z y t y w n e m) i i n a u g u r a l n e m i d y p l o m a m i«.

»II. Naszą odrębność narodową należy uznać na tej przestrzeni, którą ona jako nieprzerwana masa istotnie zajmuje, pod nazwą górno-węgierskiej Okolicy (prowincji) słowackiej, z zaokrągleniem komitatów według narodowości«.

»Słowackie cząstki komitatów — Preszburskiego, Nitrańskiego, Tekowskiego, Hontiańskiego, Nowohradskiego, Gemerskiego, Torniańskiego, Abaujwarskiego i Zemplińskiego — oznaczone pograniczną linją etnograficzną, mogą bez wielkich trudności albo utworzyć nowe żupy (komitaty), albo też, gdzieby to nie było możliwem, zostać wcielone do sąsiednich komitatów słowackich.

»Utworzenie, w sposób powyżej przytoczony, jednej górno-węgierskiej Okolicy (prowincji) słowackiej, nie robiłoby żadnej zmiany w dotychczasowym politycznym podziale Węgier, jak chyba tylko tę: że miejsce martwych granic, na których spoczywały dotąd 4 dystrykty naszej ojczyzny, zajęłyby granice żywe, określone nienaruszalnie nie samowolą ludzką, ale językiem i narodowością, a więc wolą Bożą i samą przyrodą...«

»III. Jeżeli zaś równość jest ową miarą, przez którą wolność i prawo miljonów obywateli urzeczywistniają się w życiu społecznem, łącząc wszystkich członków gminy w jedną harmonijną całość, w jedną wolną gminę; to tembardziej potrzeba rozmierzać tą samą miarą prawa narodowe i prawa językowe w jednej ojczyźnie, mającej być harmonijną całością żyjących w niej narodów.

»Według tej zasady żądamy, ażeby w Okolicy (prowincji), wyodrębniającej nasz naród:

»1) Jedynie i wyłącznie język słowacki był tem korytem, którem płynąć ma bieg życia publicznego, społecznego, kościelnego i szkolnego...

»Żądamy tedy: aby ze względu na nas Słowaków, przy nastającej obecnie organizacji kraju i komitatów, w Okolicy (prowincji) słowackiej utworzono jeden sąd apelacyjny, jakoteż przynajmniej jeden sąd wekslowy, w których językiem urzędowym byłby język słowacki; aby przy najwyższym sądzie krajowym, jak również przy najwyższych krajowych dykasterjach administracyjnych ustanowiono, w stosunku do liczby ludności, jako referentów, wraz z potrzebnym personalem, ludzi, uznanych przez opinję publiczną słowacką za narodowców słowackich, a więc biegłych w języku słowackim, którzyby tam nietylko spełniali prace urzędowe, ale zarazem w razie potrzeby bronili interesów narodu słowackiego.

»To samo powinno mieć zastosowanie przy ustanawianiu komisji do prowadzenia spraw szkolnych.

»2) ...My Słowacy, którym na zgodzie narodów węgierskich zależy daleko więcej, aniżeli na własnej marnej chlubie, jesteśmy gotowi uznać sprowadzoną do właściwych rozmiarów dyplomatyczność języka madziarskiego w ojczyźnie naszej, nie dlatego jednak, ażebyśmy może przez to uznawali uprzywilejowanie i pierwszeństwo narodowości i języka madziarskiego przed naszą narodowością i językiem... ale dlatego, ażeby braciom naszym Madziarom dać niezaprzeczony dowód tego, że dla zgody narodów węgierskich jesteśmy gotowi do zaparcia się nawet w najświętszych, od Boga danych i z nami zrodzonych prawach naszych, o ile to jest możliwe bez grubego samobójstwa.

»3) Zgodnie z zasadą, wyżej wzmiankowaną, żądamy i żądać musimy:

»aby te artykuły sejmowe, które się nie dają pogodzić z równouprawnieniem i wolnością narodów, a mianowicie art. 16:1791, 7:1792, 4:1805, 3:1836, 6:1840, 2:1844, 5. § 3: 1848 i 16 lit. *e* 1848, zostały zniesione ustawą pozytywną (prawem pozytywnem)...«

»4) Żądamy dalej wiarogodnego, na samym sejmie przygotowanego, tekstu praw języka naszego.

»5) Żądamy, aby, dla należytego politycznego i prawnego wychowania i wykształcenia młodzieży słowackiej, w odpowiedniej miejscowości słowackiej założono kosztem kraju akademję prawniczą, a obok tego katedrę języka i literatury słowackiej na uniwersytecie Peszteńskim, tembardziej, że uniwersytet ten posiada znaczne majątki w górnych okolicach Węgier, zamieszkałych przez Słowaków. Również żądamy, ażeby nasze zakłady naukowe otrzymywały stosowne wsparcia (subsydja) z dochodów krajowych.

»6) Żądamy, ażeby nam zawsze było wolno zakładać literackie i moralno-kształcące towarzystwa narodowe, oraz zbierać potrzebne na ten cel składki.

»7) Gminom słowackim wśród żywiołu innonarodowego, jakoteż gminom innonarodowym w komitatach słowackich... przysługuje prawo: w zakresie swego życia społecznego używać swego własnego języka, a narodowość swoją swobodnie piastować i kształcić.

»Niech nas nikt nie obwinia o przesadę, dlatego, że językowi swemu chcemy zapewnić rolę dźwigni naszego życia publicznego i społecznego w ojczyźnie naszej, w naszej ziemi rodzinnej i na przestrzeni, na której język ten jest językiem domowym. My naszego języka nikomu nie narzucamy, żądamy tylko tego, ażeby język nasz nie był pozbawiany swego prawa przyrodzonego.

»8) Żądamy, ażeby przy oczekiwanej reorganizacji tabeli magnatów... uwzględniono także interesy narodowości, a mianowicie naszej narodowości słowackiej.

»IV. Nareszcie oświadczmy, że interesy narodu słowackiego są, co do wolności obywatelskiej, takie same, są jednakie z interesami wszystkich narodów węgierskich, co zaś do wolności narodowej, są jednakie z interesami wszystkich dotychczas prawnie uciskanych narodów, mianowicie: Rusinów, Rumunów, Serbów i Chorwatów. Również na przestrzeni tej, którą naród słowacki zamieszkuje, żąda on dla siebie (pod względem narodowości i wolnomyślności) zupełnie tego samego, co bracia Madziarowie istotnie (faktycznie) już posiadają, i dlatego też jeden za wszystkich i wszyscy za jednego wytrwale stać i walczyć chcemy...«

»Hasłem naszem jest: jedna, wolna, konstytucyjna ojczyzna, a w niej wolność, równość i braterstwo narodów«.

Oto mniej więcej treść, oraz najgłówniejsze zasady i żądania »Memorandum«, podpisanego przez 16-u przedstawicieli narodu słowackiego, z żyjącym dziś jeszcze Janem Francisci na czele.

(Dok. n.)

J. Baudouin de Courtenay.

WYROK.

— Ojcze, powiedz mu, że ja chcę... ja muszę wrócić do niego... Jeżeli nie przebaczy mi...

Urwała. Nie mogła mówić dalej. Wyraz rozpaczy zadrgał na bladych jej wargach.

Ostatni promyk zachodzącego słońca ześlizgnął się z popiersia Wenery Medycejskiej w rogu przedpokoju.

Bielski sięgnął ręką po palto i kapelusz. Prosty, sztywny, spojrzał na córkę, jak gdyby chciał spytać: »Czy to nie nowa komedja?« dał jednak pokój. Skinąwszy głową z rezygnacją człowieka, którego ani świeże ciosy, ani skłębiony nad głową jego, silniejszy może od wszystkich poprzednich huragan życiowy nie przeraża, przeszedł już bowiem najcięższą Golgotę zgryzot, rzekł głucho: »idę!« i chwycił ręką za klamkę.

— Ojcze!...

Głuche łkanie rozległo się nagle. Irena, ukląkłszy, schwyciła obie ręce starca, gotowego do wyjścia.

— Ojcze, powiedz mu, że, jeżeli nie chce, bym wróciła do niego, jako żona, niech mię weźmie za wyrobnicę... nie zlęknę się najcięższej pracy, abym tylko była przy nim...

Bielski spojrzał na córkę i pokiwał głową.

— Znakomita z ciebie tragiczka! — chciał powiedzieć, lecz znowu zamilkł; słowa stanęły mu w gardle.

— Kto wie, może ona tym razem nie gra komedji?... może czuje na prawdę?... pomyślał.

Pójdzie, zrobi dla niej wszystko, powtórzy, zniesie jedno więcej upokorzenie, jeżeli tamten okaże się nieubłagany...

Czy mógł przebaczyć?... Czy mógł jej wierzyć?... Tyle już cierpiał przez nią!... Zabiła go moralnie... Oh, ona zabiła ich wszystkich, ta jedna blada kobieta, demon w alabastrowem ciele... córka jego... złe, duże, samolubne dziecko, na które nie przyszła jeszcze kara...

— Idę, rzekł, sięgając za klamkę powtórnie.

Tym razem nic go już nie zatrzymało. Wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

— Z czem on wróci?... Co mi przyniesie?... Żeby choć jeden blady promyk nadziei! — szeptała, zaciskając ręce Irena.

Z drugiego pokoju dolatywało ciche łkanie; to matka jej płakała. I ona myślała, jak Bielski:

— Złe, duże, samolubne dziecko... cierpimy przez nią wszyscy... czy jednak rzeczywiście przyszło na nią upamiętanie?... czy naprawdę pragnie wrócić do męża?... czy będzie wierna?... czy nie zechce szaleć, jak dotąd, głową, nerwami, o, bo nie sercem: nie miała go nigdy... Czy Zdzisław jej przebaczy?...

Irena przeszła przez ciemny przedpokój, stanęła przy fotelu matki i, oparta o grzbiet jego plecami, płakała cicho.

Przed oczami jej, jak paciorki różańca, jeden po drugim, snuły się obrazy i wspomnienia burzliwego jej życia.

Mając lat szesnaście, uciekła z domu rodziców, by wstąpić do jakiejś nędznej trupy wędrownej. Ojciec i matka szaleli z rozpaczy; ją bawiły i śmieszyły te »drobnomieszczańskie« ich utrapienia.

Po trzech latach tułaczki, stropiona jakiemś niepowodzeniem, wróciła do rodziców. W rok później wyszła za mąż za człowieka, który kochał ją od dziecka.

Ludzie straszyli go jej przeszłością; on, marszcząc brwi, mówił, że tylko teraźniejszość jej i przyszłość należą do niego, że zresztą ptak, który, wyrwawszy się z klatki, wraca do niej, tem pewniej nie opuści jej nigdy.

Przez pięć lat pozornie była mu wierną, rodzice jednak, widząc tajemne jej zdrady, znowu wpadli w rozpacz.

Po pięciu latach przejezdny tenor, zachwycony spiżowym dźwiękiem jej głosu, namówił ją, by kształciła się na operową śpiewaczkę.

Uciekła od męża, porzuciła dzieci; całe pół roku nic nie wiedziano o niej, aż nareszcie dziś rano, nim jeszcze wszczął się ruch na ulicach, przy-

biegła do rodziców, padła im do nóg i błagała, by wyjednali jej przebaczenie Zdzisława.

Co się z nią stało? Sama nie wiedziała.

Wczoraj jeszcze, wychylając podnoszone na cześć swoją toasty, sądziła, iż szczęście w wesołem biesiadnem gronie znaleźć można jedynie. Dziś nad ranem, po powrocie z gwarnej uczty, w chwili, gdy rozbierała się do snu, usłyszała nagle nad sobą szept głuchy: „Ira! Ira!“

Obejrzała się. W pokoju nie było nikogo, a jednak szept nie ustawał. Czyjś głos, dobrze znany, dawno nie słyszany, wibrował w nim: Ira... Tak wołał na nią tylko mąż, o którym w szale obecnego życia nie pomyślała nigdy.

Ira! brzmiało coraz wyraźniej.

W kłębach niknącego zmroku coś zadrgało, zakołysało się nagle. Para wielkich szafirowych oczów spojrzała na nią.

Były to oczy Zdzisława. Jak gazowe baloniki, od cienkiej nitki oderwane, wzbiły się pod sam sufit i patrzyły na nią z wyrzutem.

Chciała krzyknąć, nie mogła; chciała zadzwonić na służbę, palce jej zdrętwiały, a widmo wzroku i słuchu wpijało się w mózg coraz natrętniej.

W lekkiej białej sukni, w której przyszła z zabawy, padła na łóżko. Zmrużyła oczy do snu, nie mogła jednak spać: budziło ją wołanie, budziła para wpatrzonych w nią źrenic.

Co się z nią działo? — Uczuła naraz taką pustkę dokoła siebie, taki wstręt do życia, jakie prowadziła, taką szaloną, dławiącą tęsknotę za mężem, dziećmi, porzuconym domem, że, zerwawszy się z łóżka i przebrawszy szybko, pobiegła do rodziców.

Jak dwa słupy, prowadziły ją rozkołysane w przestrzeni oczy Zdzisława.

Rodzice przebaczyli jej. Oh, oni przebaczali jej zawsze! Ojciec poszedł do *niego:* z czem wróci? Jaki wyrok przyniesie?

Zegar wydzwonił piątą. Mrok czaił się po kątach. Na białe ściany, na arabeski sufitu padał kir żałobny. Chłód przejmujący wiał przez szczeliny okien; świat cały zdawał się konać w martwym uścisku grudniowej nocy.

Irena drżała, jak liść, pełna jakiegoś dziwnego zabobonnego strachu. Co się z nią działo? Nie wiedziała sama; czuła tylko, iż przetwarza się cała wewnętrzna jej istota i że, jak ślimak skorupę, tak ona zrzuca z siebie czarną przeszłość swoją, by wstąpić w nowe, odmienne życie. Czy *on* jej przebaczy?

Ptak w klatce zatrzepotał sennemi skrzydłami; głuchą ciszę mroku przerwało łkanie matki.

— Boże, zbaw mię! Boże, przebacz wszystko złe, które dotychczas spełniłam! Boże, zlituj się nade mną! — wyszeptały nagle zimne wargi Ireny, a serce jej zabiło, jak gdyby ktoś wsączył w nie strumień krwi żywej.

Nie znała dotąd pociechy szczerej prostej modlitwy. Pacierzy, których nauczyła ją matka, zapomniała. Zkąd dziś naraz zwróciła się do Boga?

— Panie, zbaw mię! Panie, przebacz mi! Panie, ulituj się nademną! — szeptała coraz namiętnej.

Naraz straciła zwykłą dumę i pewność pięknej kobiety, której przed godziną jeszcze zdawało się, że świat cały u stóp jej ledz winien; niepojęta siła pochyliła jej czoło i zgięła kolana. Klękła ze złożonemi do modlitwy rękami, podobna do ascetki, która w rozmowie z Bogiem znajduje rozkosz jedyną.

Czcze, puste życie pędziła dotąd. Czem była? Zerem. Kogo kochała? — Siebie tylko.

Świadomość własnych błędów jaskrawo zarysowała się w jej umyśle. Czem zdoła okupić bezduszną przeszłość swoją? Czy i kiedy zyska rozgrzeszenie?

Cienie zimowej nocy rosły, ponure, do welonów żałobnej krepy podobne. Naraz w mroku zadrgało zdaleka czerwone światełko. W głębi mieszkania, przed obrazem Matki Boskiej zapalono ponsową lampkę wiszącą. Ukośna smuga, pełznąc, podpłynęła ku stopom klęczącej kobiety.

— Chodź za mną tam do niej! Przypomnij sobie pacierz, którego nauczyła cię matka! Zmów go: Najświętsza Panna wyjedna spokój i przebaczenie grzesznej twej duszy! — zdawał się mówić krwawy płomyk, dotykający zgiętych kolan Ireny.

Ona wlepiła w niego oczy, jak ociemniały, któremu za mgłą ślepoty zaczyna nagle przeświecać blask biały.

Noc zapadła. Na płaszczu mroku osunął się anioł wielkiej skruchy i dotknął czoła rozmodlonej grzesznicy. Pochyliła głowę nizko do ziemi prawie. Spadła na nią pokora wielkich pokutnic, skupiających w sobie wstyd i ból za grzechy ludzkości.

Płomyk przed obrazem Matki Boskiej zadrgał, zasyczał; poruszyła się wraz z nim smuga purpurowego blasku.

— Chodź za mną tam do niej! mówiło znowu krwawe światełko.. — Przez nią szukaj łaski u Boga!

Irena podniosła głowę i otworzyła oczy szeroko. Coś zdawała się słyszeć, coś chwytała, coś zaczynała rozumieć.

— Boże, zbaw mię! Boże, zmiłuj się nade mną! — szeptały wciąż jej usta.

W tem poruszyła się, uczuwszy wibrację całej wewnętrznej swej istoty. Święta Bogarodzica tam, z oddali, zdawało się, skinęła na nią.

Klęcząc, po smudze blasku przyczołgała się przed obraz. »Zdrowaś Marja, Łaskiś pełna, Pan z Tobą!« — szepnęła, przypominając sobie pacierz, którego uczyła ją matka.

I padło na nią to wielkie zmiłowanie, o które błagała. Uczuła przedziwną słodycz w piersiach. Zdawało się, iż wraz z odzyskaną modlitwą napełniła puste jej serce miłość dla ludzi, dla świata, dla najbliższych, której nie znała dotąd; otworzyły się pory ciała dla wnikającej w nie duszy.

Rozkrzyżowawszy ramiona, wyciągnięta, jak struna, padła na ziemię, szepcąc nieustannie słowa pozdrowienia.

Jak długo leżała tak w pokutnem ukorzeniu, nie wiedziała sama. Mroźna noc grudniowa straszyła po kątach echem zadymki i wichury, gdy u drzwi przedpokoju rozległ się chrzęst obracanego w zamku klucza.

Bielski wracał, niosąc oczekiwany wyrok.

Irena nie słyszała kroków ojca; podniosła się dopiero, gdy dotknął rozkrzyżowanych jej ramion i rzekł głucho:

— Zdzisław ciężko chory; godziny jego życia policzone; przed skonem pragnie cię zobaczyć; od rana dziś bezustannie wymawia imię twoje. Idź, błagaj przebaczenia... może je uzyskasz...

Spojrzała na ojca szeroko rozwartemi, przerażonemi oczami. Zdzisław umiera... Przed skonem pragnie ją zobaczyć... przeczuła wolę jego... usłyszała na odległość głos, który ją wzywał...

Myśli jej, chaotyczne, zbiegały się i rozbiegały, jak spłoszone ptaki.

Naraz otrząsnęła się; wyraz energji zadrgał na bladych jej wargach. — Chodźmy, ojcze, chodźmy prędzej do niego! — zawołała, schwyciwszy kurczowo ramię Bielskiego.

W chwilę potem zbiegała ze schodów. Żałobna skrucha i ból i rozpacz wlokły się za nią.

Czy zastanie męża jeszcze przy życiu? Czy zyska przebaczenie? Przed nim nie zmyje już win swoich, cień jego jednak, jak Anioł Stróż, czuwać może będzie nad nią, by wprowadzić ją na drogę obowiązku i cnoty.

Cecylja Walewska.

Zagadki literackie.

Serja trzecia. *)

Rejestrując dalszy ciąg wykazu pseudonimów, używanych przez pisarzy polskich, nie można milczeniem pominąć głośnego ostatniemi czasy „Prawdziwego Polaka“, którego korespondencje do „Dziennika Warszawskiego“ wywołały oburzenie w całem społeczeństwie polskiem. Próbowano niejednokrotnie domyślić się autora, po za tym pseudonimem ukrytego; podejrzywano, że jest nim Ludwik Żychliński; lecz dopiero szereg procesów, rozegranych przed trybunałem lwowskim, wyświetlił prawdę: ks. Stanisław Stojałowski przyznał przed sądem, że dostarczał materjału do listów „Prawdziwego Polaka“; pseudonim ten jego jest zatem własnością.

Również przed kratkami sądowemi, tym razem w Warszawie, stwierdzono tożsamość innego pseudonimu. Udowodniono mianowicie p. Antoniemu Skrzyneckiemu, piszącemu zazwyczaj pod przezwiskiem „Werytus“, iż jedna z nowel jego, podpisana pseudonimem „Ignotus“, jest plagjatem, a jej rzeczywistym autorem jest p. St. Hłasko.

Poniżej umieszczony wykaz pseudonimów stanowi dalszy ciąg materjału do „Słownika pseudonimów pisarzy polskich“. Słownik taki, o ile kiedyś wydanym zostanie, nie powinien ograniczać się tylko do podania nazwiska i przezwiska danego autora, lecz zarazem zawierać wyjaśnienia, gdzie i kiedy, względnie w której książce i piśmie odnośny pseudonim był użyty, już choćby ze względu na fakt, iż bardzo wielu pisarzy używało lub używa jednobrzmiących pseudonimów. W ten sposób ułożony „Słownik“ byłby nader pożądanym i pożytecznym podręcznikiem nietylko dla bibljografów, bibljotekarzy i księgarzy, lecz i dla czytającego ogółu.

Abul = Wład. Satke.
Aleksota = Aleks. Baytel.
Alkies Z. = Stan. Wiktor Zaleski.
Amicus = Winc. Bieroński.
Anda = Anna Czemeryńska.
Arwort = Kaź. Laskowski.
Audax = Kaź. Ehrenberg.
Autor dawnego autoramentu = Amilkar Kosiński.
Autor „Koliszczyzny i stepów“ = Michał Grabowski.
Autor „Szczęścia w Ameryce“ = Fr. Xaw. Turczyński.
Autor „Wspomnień kapitana“ = Wiktor Wiśniewski.
Autor „Wspomnień z r. 1848“ = Jul. Falkowski.
Autor „Wyprawy Stanleya“ = Izydor Poeche.
Autor „Podr. do J.“ = Zygm. Niedźwiecki.
Autorka „Gospodyni litewskiej“ = Wincentyna z Żółkowskich Zawadzka.
Autorka „Znakomitości“ = Zofija Urbanowska.
Berka Aleksander = Leon Biskupski. (C. d. n.)

*) Ob. „Tydzień“ z r. 1893 nr. 9. i 10. oraz z r. 1896 nr. 25. i 26.

Z pism i książek.

Do szeregu pożytecznych i doborowych wydawnictw, wychodzących nakładem warszawskiego „Głosu“, jako bezpłatny dodatek dla prenumeratorów tego tygodnika, przybywa obecnie książka p. t. „Finlandja“, opracowana przez B. Koskowskiego według zbiorowego dzieła autorów fińskich i rosyjskich.

W zeszycie pierwszym, który w tych dniach właśnie opuścił prasę po opisie geograficzno-statystycznym Finlandji daje autor zarys jej ustroju politycznego, sięgnąwszy do historji tego kraju, a mianowicie do przyłączenia Finlandji do Rosji w r. 1808 i sejmu w Borgo a następnie przechodzi kolejno dzieje jej prawodawstwa, administracji i sądownictwa. Szeroko opisuje autor ustrój kościelny i życie religijne Finlandczyków i kończy zeszyt przedstawieniem ekonomicznych stosunków Finlandji, jej finansów oraz przemysłu i handlu.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.